

# Luigi Marinelli

---

## [Wielce Szanowni Państwo... : odpowiedź na ankietę]

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 93/1, 49-54

---

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

LUIGI MARINELLI

Wielce Szanowni Państwo, Drodzy Koledzy,  
przede wszystkim dziękuję serdecznie za tak zaszczytne dla mnie zaproszenie do udziału w jubileuszowej ankiecie z okazji stulecia „Pamiętnika Literackiego”. Chciałbym też na samym początku stwierdzić, że ilekroć w moim życiu zawodowym stykałem się z tym najważniejszym w Polsce pismem literackim, z jego Redakcją i Pracownikami (z panią Smolską! z panią Sypulanką!), zawsze doświadczałem szczególnej życzliwości, więcej, najwyższej rangi profesjonalizmu – naukowego, redakcyjnego, edytorskiego – wraz z wyrozumiałością, cierpliwością, „dialogowością”. Jednym słowem, miałem do czynienia z prawdziwie humanistycznym podejściem do pracy humanistycznej, co w dzisiejszym konsumpcyjno-cybernetyczno-budżetowym świecie „globalnym”, w tym najlepszym z możliwych światów, stanowi szczęśliwą wyspę, czy raczej oazę na pustyni coraz bardziej przyspieszonych, zelektronizowanych, zekonomizowanych kontaktów międzyludzkich. Jako konkretny przykład tego podejścia do pracy i do kontaktów naukowych miło mi tu przypomnieć „dialogi” toczone wokół mojego krótkiego artykułiku niedawno opublikowanego w „Pamiętniku Literackim” (2000, z. 3): w przeciągu mniej więcej roku artykuł ten został rozczytany, oceniony, skorygowany, przeredagowany, dopełniony, uzupełniony, skrócony itd. przez różne osoby, a szczególnie przez „anonimowego” redaktora naukowego (tj. – jak chyba można powiedzieć bez naruszania etycznych norm Redakcji – przez zaprzyjaźnioną panią prof. Zofię Stefanowską) oraz przez redaktora tzw. wydawniczego, czyli nieocenioną panią Zofię Sypulanę, z której ostatniego listu (w sporej korespondencji dotyczącej publikacji mojego tekstu) chciałbym zacytować następujący fragment:

mamy tu przykład, jak w tekście pięknie napisanym i kilkakrotnie czytanim (i to przez kilka osób) „lubią” się ujawniać drobne rozmaitości, gdy jest on już na etapie korektowym. Przyczyna zrozumiała: wszystkim lektorom „za dobrze się czytało” tę pracę, a dopiero teraz, przy optycznej zwartości kolumny, uwidoczniają się szczegółiki [...].

Bardzo jestem wdzięczny pani Zofii oraz w ogóle Redakcji „Pamiętnika Literackiego” za tę prawdziwą naukę akrybii, uwagi i pokornego szacunku wobec jakiegokolwiek, a w tym wypadku mojego, tekstu pisanego. Myślę bowiem, że te „szczegółiki” stanowią metaforę o wiele ważniejszej sprawy, a mianowicie tego, że bez prawdziwego respektu dla czyjejś wypowiedzi, bez próby ustalania jego (przynajmniej w naszym uczciwym mniemaniu) prawdziwej „intencji”, krótko mówiąc: bez f i l o l o g i i, czyli, etymologicznie, bez miłości dla słowa, praca nad słowem literackim zawsze podlega ryzyku fałszowania i manipulacji. Mając bowiem zawsze na uwadze jej historyczność, tj. tymczasowość i przybliżeniowy

charakter – trzeba ową trudno zaprzeczalną prawdę słowa utrwalonego na piśmie i szacunek dla jego nawet drobnych „szczegółików” uznać za jedyny sprawdzian dobrych czy złych „intencji” w pewnych sytuacjach ludzkich oraz w ich interpretacjach (najlepsze udowodnienie naukowe tej niby banalnej prawdy znajdujemy w studiach Michała Głowińskiego i innych o „nowomowie” czy o „mowie w stanie obłączenia”, które oczywiście mają wartość o wiele więcej niż naukową, bo również „polityczną” – w najwyższym tego słowa znaczeniu etyczną).

Zatrzymałem się dłużej nad tym *elogium* dla „Pamiętnika Literackiego” i jego Redakcji, uważam bowiem, że mogłoby to stanowić już częściową odpowiedź na kilka podstawowych (i trudnych) Państwa pytań, a zwłaszcza chyba na ostatnie: „Jak widzi Pan przyszłość historii literatury”, uściślając może, z mojego punktu widzenia: „jak ja widzę przyszłość pracy nad literaturą”. Zacznę więc od końca.

*Ad 3.* Otóż wydaje mi się, że właśnie w dziedzinach humanistycznych – szczególnie w literaturoznawstwie i historii literatury – jeśli jest jakaś nadzieja przyszłej pracy, leży ona właśnie w s p ó ł p r a c y różnych, a nawet bardzo różniących się ludzi i ośrodków – krajowych, międzynarodowych, interdyscyplinarnych, interkulturowych, międzypokoleniowych itp. Skromne, lecz 20-letnie już doświadczenie badacza literatury polskiej, „zagranicznego” polonisty, przekonało mnie, że bez integracji różnych doświadczeń i kompetencji, bez tej jakby bachtinowskiej „dialogowości” i „polifonii”, bez tego prawdziwie humanistycznego podejścia do nauki i do pracy humanistycznej, o którym była mowa na przykładzie „Pamiętnika Literackiego”, studia literaturoznawcze czeka wyjałowienie i całkowite „utechnicznienie”.

Trzeba więc znać język komputera i zaskakujące możliwości „odkrywcze” sieci Internet. Trzeba też jednak znać języki w ogóle, czytać dużo i pisać mało, przede wszystkim dialogować, dyskutować, a nawet polemizować – zawsze z przeświadczeniem wartości samej w sobie innego od naszego punktu widzenia. Jakakolwiek krytyka, historia czy teoria literatury uprawiana z szerzej pojmowanego „prokuratorowskiego” stanowiska (tu jestem dłużnikiem świetnej pracy Michała Głowińskiego pod takim właśnie tytułem: *O krytyce prokuratorowskiej*) nie służy właściwie niczemu i nikomu, bo wszelka (zwłaszcza naukowa) forma fundamentalizmu jest po prostu zaprzeczeniem humanizmu. Oczywiście także – nazwijmy je tak – „wtórne systemy fundamentalizujące”, typu poetyk lub estetyk normatywnych, oraz „silne” metody w badaniach literackich – jak wczoraj materializm historyczny, ale też w końcu pewna postawa strukturalno-semiotyczna (binaryzm, synchronizm, immanentyzm itd.) lub dzisiaj sztywnie (czytaj: idiotycznie) stosowane koncepcje *gender* – niosą ze sobą ryzyko jakiejś „prokuratorowości”. Dynamika czynników nieregularnych czy odbiegających od normy wymyka się bowiem nieuchronnie z pola obserwacji, z wielką szkodą dla rekonstrukcji „prawdziwego” czy co najmniej „prawdopodobnego” obrazu obserwowanej rzeczy i jej „szczegółików”.

Także jeśli chodzi o metody i sposoby refleksji nad literaturą, nie widzę tu alternatywy: „zwrot ku źródłom” – „eseizacja” (jak by chyba wynikało z naiwnego odczytania ostatniego pytania ankiety). W czasach kiedy cywilizacja ikoniczna prawie już zupełnie skompromitowała cywilizację pisma, możliwą formą ratunku (co najmniej protestu) wydaje mi się właśnie *l e k k o ś ć* formy (a więc forma eseistyczna) na podstawie filologicznie i źródłowo gruntownie sprawdzanej treści (*nb.* dla histo-

ryków takich, jak Aleksander Gieysztor, Bronisław Geremek, Henryk Samsonowicz, Janusz Tazbir, już od dłuższego czasu nie jest to problemem!). Jest to może kwadratura koła i oczywiście poza tą – zapewne najtrudniejszą – drogą istnieje szeroka przestrzeń innych możliwości, również godnych szacunku, choć nie należących chyba do badań literaturoznawczych. A więc z jednej strony formy dziennikarskie, krytyka impresjonistyczna (za dużo ludzi nazywa ją – jakże mylnie! – hermeneutyką) itp.; z drugiej zaś puste „filologizowanie”, lingwistyczno-dekonstrukcjonistyczne popisy poświęcone końcówkom w lirykach łożańskich w kontekście odwiecznego problemu „d... Maryny”, czyli – jak słusznie to określił Stefan Sawicki w stosunkowo niedawnym, le k k o napisanym, ważnym eseju *O sytuacji w metodologii badań literackich* – traktowanie tworzenia jako „zabawy w obrazkowe klocki”<sup>1</sup>. Przychodzi mi tu na myśl piękny wiersz Jana Twardowskiego pt. *Matka Boska staroświecka* (z tomu *Niebieskie okulary*, 1980): „Tylko nam się w głowie poprzewracało / I chcemy wymyślić dzisiaj bez wczoraj / Nowe bez starego”.

Bez tej nieustannej, świadomej, trudnej i twórczej dialektyki nowego i starego, lekkości i gruntowności, nie ma mowy – moim skromnym zdaniem – o żadnej przyszłości, o żadnym nowym „odkryciu” w badaniach literackich. Lepiej więc będzie, jeżeli każdy z nas napisze wierszyki i opowiadanka i przeczyta je swym wiernym, cierpliwym słuchaczom-studentom, zrywając wreszcie maskę, pod którą zbyt często kryje się właściwa twarz literaturoznawcy – twarz chudego, nieudolnego, często więc i zawistnego, lecz czasem nawet niezłego literata...

*Ad 2.* Druga grupa pytań w Państwa ankiecie jest w sumie prostsza, może przede wszystkim dla kogoś, kto uprawia zawód, co umieszcza go jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz polonistycznego „systemu”. Pozycja filologa „obcego” jest zresztą z tego samego względu i wygodna, i niewygodna, bo z jednej strony, jako obserwator niby „neutralny” i liczący na wyrozumiałość polskich i niepolskich kolegów, mogą czasem pozwolić sobie na pewne nie do końca kontrolowane czy nawet prowokacyjne sądy. Zdarzały mi się takie, kiedy jako młody absolwent, zafascynowany polską szkołą poetyki historycznej i genologii, starałem się w swoich publikacjach udowodnić Włochom, że były to dokonania literaturoznawcze nie mniej ważne od bardzo wówczas modnej semiotyki tartusko-moskiewskiej. Z drugiej strony zaś mogło to czasem i utrudniać dialog właśnie z kolegami polskimi, kiedy to – przede wszystkim w mojej dziedzinie specjalizacji (*scil.* w literaturze staropolskiej) – mogłem rzucić niektóre hasła wówczas niezbyt przyjemne polskim uszom. Nastąpiło to np. na IBL-owskiej sesji naukowej w listopadzie 1988, pt. *Staropolska kultura rękopisu*, kiedy moja propozycja postrzegania cenzury jako „hipotezy koniecznej”, by lepiej zrozumieć przebieg staropolskiego procesu historycznoliterackiego, ze szczególnym uwzględnieniem problemu rękopiśmiennego i anonimowego charakteru poezji polskiego baroku, wywołała u niektórych negatywne, speszone reakcje. Wśród tamtych głosów krytycznych z 1988 r. były nawet takie, które nietrudno mi nazwać „obskurancko-sarmackimi”, odwołujące się do faktu, że cudzoziemiec nie może do końca zrozumieć realiów i mentalności polskiej (czytaj chyba: szlachty polskiej), bo rozumienie „polskości” (o nią chyba w końcu chodziło, o tę jakby witkacowską Tajemnicę Istnienia...) zarezerwowane

<sup>1</sup> S. Sawicki, *O sytuacji w metodologii badań literackich*. W: *Wartość – sacrum. Studia i szkice aksjologicznoliterackie*. Lublin 1994, s. 35.

jest tylko dla niektórych (oczywiście polskich) wybrańców. Całe szczęście, że po moim skromnym i pewnie wtedy nie do końca przemyślanym, naiwnym referacie ukazały się poważniejsze prace na temat cenzury staropolskiej, które nie tylko nie obaliły, lecz wręcz poparły moją „hipotezę”. Dziś, po tych polskich studiach, a przede wszystkim po ukazaniu się odkrywczych prac Petera Godmana, takich jak *Die geheime Inquisition* (Munich – New York 2001) i *Weltliteratur auf dem Index* (Berlin 2001), jestem jeszcze bardziej przekonany o ogromnej doniosłości problemu cenzury jako zagadnienia komparatystycznego i historycznoliterackiego w skali ogólnoeuropejskiej (a więc i polskiej!).

Ten osobisty wtęt służył przede wszystkim temu, by powiedzieć, że perspektywa „zagraniczna” chyba pozwala mi (bez obawy schlebiana czy akademickiej kurtuazji) na wyrażenie najwyższego uznania dla polskiej teorii literatury, która nawet w czasach utrudnionej wymiany personalnej, naukowej czy po prostu książkowej z literaturoznawstwem innych krajów (zwłaszcza zachodnich) szła pewnym krokiem, jednocześnie respektując swe własne tradycje, ale i biorąc czynny udział „w podejmowaniu i rozwijaniu nowych kierunków badań w zakresie teorii literatury”. Przykład ewidentny, który na pewno warto tu podkreślić – to polska szkoła poetyki historycznej, z przedstawicielami takimi, jak Edward Balcerzan, Kazimierz Bartoszyński, Michał Głowiński, Henryk Markiewicz, Janusz i Aleksandra Sławińscy, Jerzy Ziomek i inni, których wspólnym celem naukowym było „budowanie mostów” między poetyką lub, szerzej, teorią a historią literatury. Nie przypadkiem wzmiankowałem nazwiska badaczy, którzy równorzędnie uprawiali literaturoznawstwo zarówno na płaszczyźnie metodologicznej, jak i historycznej oraz krytycznej (tu warto wspomnieć także o polskiej szkole translatologicznej, reprezentowanej np. przez Edwarda Balcerzana czy innych przedstawicieli poznańskiego ośrodka polonistycznego, która odbiega od pewnych zbyt teoretyzujących tendencji współczesnej translatologii właśnie dzięki stałemu odniesieniu do historyczności oraz konwencyjności (gatunkowości) tekstu przekładowego). Przede wszystkim w tej próbie koherencji, czyli w równorzędnym praktykowaniu różnych dziedzin nauki o literaturze, chciałbym widzieć trwałą lekcję ze strony nie tylko wymienionych polskich badaczy. Nie ma zresztą wątpliwości, że tu także stoimy w obliczu pewnej tradycji metodologicznej (wystarczy wspomnieć mistrzów myśli teoretycznej oraz praktyki historycznoliterackiej pokolenia przedwojennego, jak Stanisław Łempicki, Julian Krzyżanowski, Irena Sławińska, Kazimierz Budzyk, Manfred Kridl, Stefania Skwarczyńska, Konrad Górski). Tę tradycję czołowi uczeni umieli odnowić i przekazać młodszemu pokoleniu polskich badaczy: Włodzimierz Bolecki, Jerzy Jarzębski, Ryszard Nycz, a wśród jeszcze młodszych Michał Paweł Markowski i inni – mimo wszelkich postmodernizmów i poststrukturalizmów – należą do tejże linii. Jej właśnie zawdzięczamy, że w sumie metodologia badań literackich w Polsce nie znalazła się w pewnym momencie na rozdrożu „między postawą eksponującą utwór a postawą eksponującą siebie”<sup>2</sup>. Te dwie ścieżki szły zawsze równolegle i często krzyżowały się w pracach teoretyków i historyków literatury polskiej.

*Ad 1.* Owa twórcza dialektyka starego i nowego, tradycji i nowatorstwa, bez wątplenia dotyczyła także dziedziny będącej w ostatnim stuleciu w „wiecznym kry-

---

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 42.

zysie”, lecz jakoś wciąż jeszcze żywej po dziś dzień, jaką stanowi historia literatury polskiej. W jej rozumieniu, oczywiście, dużo zmieniło się od czasów Piotra Chmielowskiego *Metodyki historii literatury polskiej* (1899) do najnowszych wypowiedzi i prób syntezy historycznoliterackiej. Jednak sam fakt, że podstawowymi podręcznikami uniwersyteckimi do stosunkowo niedawnego czasu były wciąż jeszcze dzieła badaczy przedwojennych (Ignacy Chrzanowski, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski), świadczy nie tyle – jak można by nie bez powodów twierdzić – o pogłębiającym się kryzysie tego gatunku naukowego, ile o potrzebie głębszej i dłuższej (w skali pokoleniowej) refleksji, kiedy to od opisu czy syntetycznego traktowania problemów i zjawisk cząstkowych przechodzi się do ujęcia całościowego historii literatury. Nie ma, z drugiej strony, wątpliwości, że właśnie mecenat państwowy nad instytucjami kulturalno-naukowymi w okresie Polski Ludowej pozwolił na stworzenie podstaw nowej historii literatury polskiej, której epokowym przykładem miała być nie dokończona do dziś (jeszcze bowiem daje się odczuć znaczący brak tomu o literaturze powojennej) zespolowa *Historia literatury polskiej* rozpoczęta pod redakcją Kazimierza Wyki. Jakby eleatycznym paradoksem owego okresu było zresztą to, że podczas gdy stawiano ogromne kroki naprzód w stronę systematycznej rozbudowy i unowocześnienia zaplecza materiałowo-dokumentacyjnego (bibliografie, edycje, słowniki, serie wydawnicze, itp.), właśnie ów burzliwie narastający rozwój specjalizacji w studiach polonistycznych utrudniał badaczom drogę do przedsięwzięcia prac syntetycznych. Ewidentnym symptomem tych trudności były długie, zawile i nader gorące (ale też niezbyt owocne) dyskusje nad historycznoliteracką periodyzacją, zwłaszcza niektórych okresów, z notorycznymi, nawet ostrymi polemikami nad ustaleniem cezur, tzw. dat przełomowych.

Te diatryby i cały ten багаż historyka literatury polskiej zdają się dzisiaj należeć do dawno minionego czasu. W całościowym ujęciu historii literatury polskiej nastąpiło w ostatnich dziesięcioleciach pewne (bardzo wskazane, jak sądzę) uproszczenie: od jedenastu czy dwunastu „kanonicznych” epok literatury polskiej doszliśmy bowiem do zamknięcia jej w ramach czterech wielkich „formacji” czy wręcz „superformacji” (staropolska, oświeceniowa, XIX-wieczna, XX-wieczna – odpowiada ją im cztery *Słowniki literatury polskiej* z serii „Vademecum Polonisty”), które ostatecznie – myślę – warto byłoby zredukować do trzech, nazwijmy je (tymczasowo): „przednowoczesna” (do romantyzmu), „nowoczesna” (od romantyzmu), „ponowoczesna” (od końca XX wieku). W ten sposób formacja nowoczesna, od romantyzmu właśnie (mniej więcej pokrywająca się chronologicznie z dwoma wiekami niesuwerenności Polski, z fundamentalnym nawiasem Dwudziestolecia międzywojennego), staje się centrum i sercem historii literatury i kultury polskiej. Mickiewicz – jej kanonem. Zdaję sobie sprawę, że jednym z dyskusyjnych podtekstów tego skrajnego uproszczenia (czy prawie wyeliminowania) problematyki periodyzacyjnej jest umieszczenie oświecenia w jednej „superformacji” wraz z całą literaturą i kulturą staropolską. Wiadomo bowiem, że starania i wspaniałe próby naukowe ostatnich pokoleń polskich badaczy (z Teresą Kostkiewiczową na czele) dążą z jednej strony do wykrywania specyfiki oświecenia w odniesieniu do formacji staropolskiej, z drugiej zaś do uznania go za „próg naszej współczesności”. To samo można by powiedzieć o zasadniczym zacieraniu „granic” między wiekiem XIX a większą częścią XX wieku. Może właśnie owa „bezczelność” obcego obserwatora, którą wzmiankowałem, pozwala mi jednak widzieć dzisiaj więcej i głębszych podobieństw czy pokrewieństw

np. między Mickiewiczem a Miłoszem niż między autorem *Pana Tadeusza* a Kraśnickim; więcej powinowactw między – dajmy na to – Norwidem i Herbertem czy nawet Sienkiewiczem i Gombrowiczem, Prusem i Mrożkiem niż innych ewidentnych, lecz bodajże też po prostu „obowiązkowych” różnic. Ostatnio, na dużej sesji międzynarodowej w Trieście, starałem się wskazać na zaskakujące wręcz pokrewieństwa między poetyką i twórczością Tadeusza Kantora – „artyści końca wieku” (jak go nazwał Krzysztof Pleśniarowicz), lecz jeszcze całkiem, moim zdaniem, tkwiącego w formacji nowoczesnej – a dziełem Brunona Schulza. Zgłębiając tę sprawę ja sam się dziwiłem, na ile – poza oczywistymi różnicami (biograficzno-charakterologicznymi, formalnymi, genologicznymi itp.) – te dwie postawy, więcej, te dwa światy twórcze mogły być sobie bliskie...

Wiem, że powinienem dłużej i poważniej usprawiedliwić te wariacje periodyzacyjne... Z czysto osobistego punktu widzenia mogę jednak szczerze zaręczyć, że z upływem lat zgadzam się coraz bardziej z „idealistycznymi” zwolennikami owej „wiecznej terażniejszości”, która chyba najlepiej reprezentuje paradoks stosunku między sztuką (literaturą) a czasem (życiem). Przychodzą tu spontanicznie na myśl słowa dwóch dzisiaj chyba już nikomu nie groźnych „pradziadków”: Oskara Wilde’a, przeświadczonego, że „Wieki żyją w historii dzięki swym anachronizmom”<sup>3</sup>, lub – jak kto woli – Karola Marksa, który w znanym fragmencie *Wprowadzenia do krytyki ekonomii politycznej* (1848) stwierdzał:

Trudność polega jednak nie na tym, żeby zrozumieć, że grecka sztuka i epos są związane z pewnymi społecznymi formami rozwoju. Trudność polega na tym, że dostarczają nam one jeszcze rozkoszy artystycznej i w pewnej mierze służą za normę i niedościgniony wzór<sup>4</sup>.

I wreszcie odpowiedź – dla mnie może najważniejsza. Pytacie Państwo: „Czy miał Pan swoich mistrzów? Szczególnie ważne książki?” Otóż dziękuję najserdeczniej za te pytania, bo nie miałbym chyba lepszej okazji, by wyrazić publicznie moją, zresztą trudną do wypowiedzenia wdzięczność dla wielu osób – mistrzów, kolegów, przyjaciół (poczynając od moich nauczycieli języka polskiego z warszawskiego Polonicum oraz od szczególnie mi bliskich osób zajmujących się literaturą staropolską), którzy właśnie w Polsce wpoili mi najważniejszą naukę: to, że mądrość i dobroć nie należą do dwu różnych sfer ludzkich, oraz to, że – jak powiada Miłosz w *Ogrodzie nauk* – „albo się swoje wie, albo żadne teorie nie pomogą”. Bardzo trudno mi w takiej sytuacji wymienić tylko kilka nazwisk (niektóre zresztą już padały w trakcie tej mojej gawędy), a lista byłaby naprawdę zbyt długa...

Z wielu książek, które były szczególnie ważne dla mojego wykształcenia polonistycznego, z podobnych względów chciałbym tu wymienić jedną tylko mądrą książeczkę, nie ściśle polonistyczną: Juliusza Domańskiego *Tekst jako uobecnienie* (Warszawa, IFiS, 1992), która mi przypomniła i utwierdziła w przekonaniu, że pismo i utwór literacki (czy też badania nad literaturą?) mogą zbliżyć ludzi przestrzennie i czasowo nawet bardzo odległych i że z tego, co się pisze, coś jednak kiedyś komuś niespodziewanie się przyda do jakiejś dalszej refleksji, a może też – by trochę o nas, nawet po nas, pamiętać.

Rzym, 26 lipca – 5 sierpnia 2001

<sup>3</sup> O. Wilde, *Aforyzmy*. Wstęp, wybór i przekład M. Dobrosielski. Warszawa 1974, s. 17.

<sup>4</sup> Cyt. z: *Karol Marks i Fryderyk Engels o literaturze i sztuce. Wybór tekstów*. (Przeł., oprac., wybór T. Zabułowski). Warszawa 1958, s. 29.